

0 wojnie arabsko-izraelskiej w 1967 r.

17 stycznia 2009

Wywiad z Izaakiem Deutscherem dla „New Left Review”, przeprowadzony przez Alexandra Cockburna, Toma Wengrafa i Petera Wollena, 20 czerwca 1967 r. Opublikowano jako aneks do książki Tariqa Aliego „Zderzenie cywilizacji. Wyprawy krzyżowe, dżichad i współczesność” (2006).

– Czy na wstępie zechciałby pan może w ogólnych zarysach przedstawić swój punkt widzenia na wojnę arabsko-izraelską?

Izaak Deutscher: Wojna i „cudowne” zwycięstwo Izraela, moim zdaniem, nie rozwiązuje ani jednego z tych problemów, przed którymi stoi Izrael i kraje arabskie. Przeciwnie, zaostriżyło to tylko wszystkie kwestie sporne i stworzyło nowe problemy, jeszcze bardziej groźne. Nie zwiększyły bezpieczeństwa Izraela, lecz uczyniły go mniej bezpiecznym, niż przedtem. Jestem przekonany, że ostatecznie triumfalne zwycięstwo izraelskiej armii w przyszłości, i to w niedalekiej, będzie postrzegane jako katastrofa, przede wszystkim dla samego Izraela.

Popatrzmy na międzynarodowe tło tych wydarzeń. Wojnę tę należy łączyć z ogólnoswiatową walką o władzę i konfliktami ideologicznymi, które kształtują kontekst. W ostatnich latach imperializm amerykański, a także siły z nim związane i przezeń wspierane, zostały wciągnięte do ogromnego politycznego, ideologicznego, ekonomicznego i militarnego natarcia na obszerne terytoria Azji i Afryki; w tym czasie, gdy siły im przeciwstawne, w pierwszym rzędzie Związek Radziecki, ledwo utrzymywały swoje pozycje, bądź ustępowały. To ukierunkowanie powstało na skutek całego łańcucha zbiegów okoliczności: przewrót w Ghanie, w którego wyniku obalono rząd Nkrumacha, przypływ reakcji w różnych afro-azjatyckich krajach, krwawy

triumf antykomunizmu w Indonezji, który stał się wielkim zwycięstwem sił konserwatywnych w Azji, eskalacja amerykańskiej wojny w Wietnamie, a także prawicowy przewrót wojskowy w Grecji. Wojna arabsko-izraelska nie była czymś wyjątkowym, zajęła ona swoje miejsce w tym szeregu zdarzeń. Sytuacja ogólna Azji znalazła wyraz w rewolucyjnym wrzeniu w różnych częściach Indii, radykalizacji nastrojów politycznych w krajach arabskich Zatoki Perskiej, efektywnej walce Narodowego Frontu Wyzwolenia Wietnamu Południowego i wzroście na całym świecie niezadowolenia z amerykańskiej interwencji. Postępy amerykańskiego imperializmu i konserwatywne wystąpienia w duchu „zimnej wojny” w Afryce i Azji nie mogły nie wywołać sprzeciwu, lecz przyniósł on sukces jedynie w Wietnamie.

Amerykanie pojawili się na Bliskim Wschodzie stosunkowo niedawno. W czasie wojny sueskiej USA wciąż jeszcze prezentowały się w roli „antykolonialistów” i ten trick im się udał, przy widocznej zgodzie Związku Radzieckiego oraz ustępstwach Brytyjczyków i Francuzów. Logika amerykańskiej polityki była ta sama, co w końcu lat czterdziestych, kiedy państwo Izrael było w procesie powstawania. Dokąd amerykańska klasa panująca była zainteresowana przede wszystkim wyparciem starych europejskich kolonizatorów z Afryki i Azji, Biały Dom odgrywał rolę ostoji „antykolonializmu”. Jednak po rozgromieniu starych kolonialnych imperiów, USA zaniepokoiły się, jako że w Afryce i Azji powstała „próżnia władzy”, którą mogły wypełnić miejscowe siły nacjonalistyczne lub komunistyczne, związane z ZSRR. Antykolonializm Amerykanów zniknął, i rozpoczęła się szeroko zakrojona ekspansja USA na Bliski Wschód. Doszło do tego w okresie między kryzysem sueskim a ostatnią wojną arabsko-izraelską. Celem amerykańskiego desantu w Libanie w 1958 roku było powstrzymanie rewolucyjnego przypływu w tym regionie, zwłaszcza w Iraku. Odtąd USA bez wątpienia do pewnego stopnia opierały się na radzieckiej „odwilży”, unikały otwartej i bezpośredniej interwencji wojskowej w sprawy Bliskiego Wschodu, co, nawiasem mówiąc, nie czyniło

amerykańskiej obecności w regionie mniej realną.

– Jak więc scharakteryzowałby pan izraelską politykę?

– Izrael, oczywiście, postępował w oparciu o własną motywację, nie licząc się nie tylko z interesami Amerykanów. To, że duża część samych Izraelczyków wierzy w arabskie zagrożenie, nie ulega wątpliwości. To, że zapowiedzi niektórych „chciwych krwi” Arabów, że „Izrael zostanie starty z powierzchni ziemi” napędzają Izraelczykom strachu – jest oczywiste. Przytłoczeni pamięcią o żydowskiej tragedii w Europie, Izraelczycy czuli się izolowani i okrażeni przez „niezliczone hufce” z wrogiego arabskiego świata. Dla ich własnych propagandzistów nie było nic łatwiejszego, niż – wykorzystując słowne pogróżki Arabów – zagrać na strachu przed jeszcze jednym „ostatecznym rozwiązaniem”, grożącym Żydom tym razem w Azji Mniejszej. Wykorzystując biblijne mity i wszystkie dawne religijno-narodowe symbole żydowskiej historii, propagandiści rozpalali pychę, fanatyzm i wojownicze szaleństwo, co doprowadziło do aneksji przez Izraelczyków ziem arabskich. Za całym tym szaleństwem i zarozumiałstwem kryje się stłumione poczucie winy Izraelczyków wobec Arabów, poczucie, że Arabowie nie zapomną, bądź nie wybaczą ciosów, zadanych im przez Izrael: zaboru ich ziem, milionów uchodźców, ciągłych militarnych porażek i poniżenia. Po części oszalawszy ze strachu przed zemstą ze strony Arabów, Izraelczycy przytłaczającą większością głosów przyjęli pozarządową „doktrynę”, w myśl której bezpieczeństwo Izraela opiera się na okresowych operacjach wojennych przeciwko krajom arabskim, co powinno je na tyle osłabić, że utracą one zdolność stawiania oporu.

Niezależnie jednak od własnej motywacji i lęków, Izraelczycy nie są siłą niezależną. Przyczyny zależności Izraela są do pewnego stopnia „wbudowane” w dwa dziesięciolecia ich historii. Wszystkie izraelskie rządy postawiły na „prozachodnią orientację”. Już tylko to wystarczyło, by przekształcić Izrael w zachodni przyczółek na Bliskim Wschodzie, a to oznacza wciągnięcie Izraela w wielki konflikt

między imperializmem (czy neokolonializmem) a walką wyzwolenczą narodów arabskich. Na jedną kartę postawiono i inne sprawy. Słaby rozwój gospodarczy Izraela zależny był od pomocy finansowej wielkich organizacji syjonistycznych, zwłaszcza amerykańskich. Ich datki stały się przekleństwem dla nowego państwa, jako że dawały jego rządowi możliwość sterowania bilansem płatniczym na sposób niemożliwy w jakimkolwiek innym kraju, bez wchodzenia w relacje handlowe ze swymi sąsiadami. To zdeformowało gospodarczą strukturę Izraela, sprzyjając rozwojowi sektora nieprodukcyjnego, jak też podnoszeniu życiowego standardu, nie związanego z wydajnością i zyskami kraju. Izrael w gruncie rzeczy żyje zdecydowanie ponad stan. Przez wiele lat około połowy żywności Izrael importował z Zachodu. Dokąd amerykańska administracja zwalnia z podatku zysk zadeklarowany jako darowizna dla Izraela, Waszyngton kontroluje środki, od których bezpośrednio zależna jest gospodarka Izraela. Waszyngton w dowolnym momencie może zadać Izraelowi cios, znosząc zwolnienia podatkowe od darowizn (nawet jeśli spowoduje to utratę głosów Żydów podczas wyborów). Zagrożenie taką sankcją, o czym nikt nie mówi ale ma na uwadze, stanowi wystarczające uwarunkowanie ścisłego dostosowania izraelskiej polityki do USA.

Kilka lat temu, kiedy odwiedzałem Izrael, wysoki izraelski urzędnik wymienił mi szereg fabryk, których nie wolno było zbudować ze względu na zastrzeżenia Amerykanów: były wśród nich odlewnie stali, potrzebne do produkcji maszyn rolniczych. Z drugiej strony była lista w rzeczywistości zbędnych fabryk, produkujących fantastyczną ilość kuchennego sprzętu, zabawek itd. Prócz tego, żadna izraelska administracja nie mogła poważnie pomyśleć o żywotnie ważnej potrzebie długoterminowego handlu i ścisłych związkach gospodarczych z arabskimi sąsiadami i o poprawie stosunków gospodarczych z ZSRR i Europą Wschodnią.

Taka gospodarcza zależność przyniosła też straty w polityce wewnętrznej Izraela i w kulturze. Ameryka – to największy

zagraniczny inwestor na Ziemi Świętej. Bogaty amerykański Żyd, biznesmen, żyjący w pokoju pośród swoich nieżydowskich kolegów w Nowym Jorku, Filadelfii czy Detroit, w duszy bardzo dumny z przynależności do narodu wybranego, w Izraelu wykorzystuje swe wpływy na rzecz religijnego obskurantyzmu i reakcji. Zazdrośnie wierzący, wrogo spogląda nawet na „łagodny socjalizm” Histadrutu i kibuce, i ściąga wodze, by go powściągnąć. Przede wszystkim pomaga rabinom utrzymać ich wpływ na przyjmowane ustawy i większość placówek nauczania oraz odpowiednią ich elitarność.

„Zimna wojna” była bodźcem dla reakcyjnych nurtów i pogłębiła arabsko-izraelski konflikt. Izrael był żarliwym zwolennikiem antykomunizmu. Rzeczywiście, polityka Stalina, wybuchy antysemityzmu w ZSRR, antyżydowskie motywy w procesach Słanskiego, Rajka i Kostowa, odbywających się w krajach obozu socjalistycznego, popieranie przez ZSRR nawet najbardziej irracjonalnych form arabskiego nacjonalizmu – wszystko to wносиło swój wkład w kształtowanie politycznego stanowiska Izraela. Nie należy jednak zapominać, że Stalin był „ojcem chrzestnym” Izraela, że właśnie z jego rozkazu dostarczano tam amunicję, którą Żydzi walczyli o stworzenie swego państwa narodowego w latach 1947-1948, i że w ONZ Związek Radziecki jako pierwszy zagłosował za uznaniem państwa Izrael. Dyskusyjne jest, czy zmiana stanowiska Stalina względem Izraela była następstwem reakcji na prozachodnią orientację jego liderów. Po śmierci Stalina w stosunkach ZSRR-Izrael taki układ się utrzymał.

Nieprzejednana wrogość względem nadziei Arabów na wyzwolenie od Zachodu stała się aksjomatem izraelskiej polityki. Stąd też i rola, jaką odegrał Izrael w 1956 roku w wojnie sueskiej. Socjaldemokratyczni ministrowie Izraela dokładnie tak samo, jak zwolennicy kolonializmu w krajach zachodnich, nalegali na „troskę o interesy państwa”, robiąc wszystko, co możliwe, żeby Arabowie pozostawali zacofani i podzieleni. Izrael sztucznie konfliktował ze sobą siły konserwatywne i republikańskie oraz

ruchy narodowowyzwoleńcze w krajach arabskich. Przedtem, kiedy wydawało się, że król Husajn może utracić tron w wyniku republikańskiego powstania czy przewrotu, rząd ministra Eszkola, gdyby nie uwikłał się w „przewrocie Nasera”, nie powstydziliby się wysłać wojska izraelskie do Jordanii – na Amman. Preludium wydarzeń z końca lipca stała się wrogość Izraela wobec nowego reżimu w Syrii, który został okrzyknięty jako „naserowski”, czy nawet „ultranaserowski” (jako że władze syryjskie wydały się przywódcom Izraela bardziej lewicoworadykalne, niż egipskie).

Czy rzeczywiście Izrael planował zaatakowanie Syrii w maju, jak zakładał radziecki wywiad, i Moskwa ostrzegła Nasera? Tego nie wiemy. Wiadomo tylko, że przy radzieckim poparciu Naser nakazał mobilizację i koncentrację wojsk na granicy Półwyspu Synajskiego. Jeśli Izrael miał taki plan, posunięcie Nasera mogło oddalić atak izraelskiej armii o kilka tygodni. Jeśli Izrael nie miał takiego planu, zachowanie Nasera uprawdopodobniło „syryjskie zagrożenie”, tak jak inne arabskie groźby w oczach Nasera. W każdym wypadku władze Izraela były całkowicie przekonane, że ich agresywność wobec Syrii czy Egiptu obudzi sympatię Zachodu i przyniesie im nagrodę. Taka kalkulacja leżała u podstaw ich decyzji o przeprowadzeniu 5 czerwca uprzedzającego uderzenia.

Byli absolutnie przekonani o amerykańskim, i do pewnego stopnia również brytyjskim, moralnym, politycznym i gospodarczym poparciu. Izrael wiedział, że niezależnie od tego, jak daleko posunie się w atakach na kraje arabskie, może liczyć na obronę amerykańskiej dyplomacji, czy też, w ostateczności, na wyrozumiałość USA. I nie pomylił się. Biały Dom i Pentagon nie mogły nie docenić tych, którzy powodowani własnym interesem uśmierzali arabskich wrogów amerykańskiego neokolonializmu. Generał Dajan działał na Bliskim Wschodzie tak samo, jak marszałek Kaj, i wyglądało na to, że wykonywał swą pracę zaskakująco szybko, efektywnie i starannie. Był i pozostaje nadal znacznie tańszym i bardziej ustępliwym

sojusznikiem Zachodu, niż Kaj.

– Czy mógłby pan teraz przedstawić arabski punkt widzenia i poczynania Arabów w przededniu kryzysu?

– Zachowanie strony arabskiej, zwłaszcza wahania i miotanie się Nasera u progu „epoki konfrontacji”, rzeczywiście rażąco kontrastuje z izraelskim zdecydowaniem i niemal niepohamowaną agresywnością. Po wyprowadzeniu, przy poparciu ZSRR, swych wojsk na granice Półwyspu Synajskiego, a nawet po wprowadzeniu w stan gotowości bojowej rakiet rosyjskiej produkcji, Naser bez wstępnej konsultacji z Moskwą ogłosił blokadę Cieśniny Tirańskiej. Była to prowokacja, lecz w praktyce niewiele to oznaczało. Zachodnie mocarstwa nie uznały tego posunięcia za na tyle ważne, by spróbować zdjąć blokadę. To przyniosło Naserowi prestiż i pozwoliło oświadczyć, że odebrał Izraelowi ostatni owoc jego zwycięstwa w 1956 roku. Przed wojną sueską statki izraelskie nie mogły wchodzić do Cieśniny Tirańskiej. Izraelczycy próbowali przedstawić tę blokadę jako śmiertelne zagrożenie dla ich gospodarki, co nie odpowiadało rzeczywistości, i odpowiedzieli mobilizacją i przesunięciem sił w kierunku granicy.

Radziecka propaganda wciąż jeszcze otwarcie popierała Arabów. Jednakże zjazd komunistycznych partii Bliskiego Wschodu, który odbył się w maju (jego podsumowanie przedstawione zostało w „Prawdzie”), poświęcił zadziwiająco mało uwagi kryzysowi i pozwolił na niemało krytyki pod adresem Nasera. Ważniejsze były zakulisowe manewry dyplomatyczne. 26 maja, głęboką nocą, ambasador radziecki obudził Nasera, aby niezwykle serio przestrzec go, aby armia egipska nie otwierała ognia jako pierwsza.

Naser podporządkował się. Podporządkował się do tego stopnia, że nie tylko wstrzymywał działania zbrojne, ale też nie podjął jakichkolwiek środków ostrożności na wypadek ataku Izraela: pozostawił lotniska bez obrony, a samoloty nie zostały zamaskowane i nie wystartowały. Arabowie nie zadali sobie

nawet trudu zaminowania Cieśniny Tirańskiej, czy umieszczenia kilku dział na jej brzegach, co z wielkim zdziwieniem odkryli Izraelczycy.

Wszystko to świadczyć może o beznadziejnym zagubieniu Nasera i egipskiego dowództwa. Ale najprawdziwsze gapy siedziały na Kremlu. Zachowanie Breżniewa i Kosygina w toku tych wydarzeń przypominało historię Chruszczowa w czasie kryzysu kubańskiego, chociaż jego zachowanie było jeszcze bardziej bezsensowne. Najpierw doszło do niepotrzebnego sprowokowania przeciwnika i nierozsądnego kroku na skraj wojny, następnie – niespodziewana panika i pospieszne wycofanie się, a później – tytaniczne próby „ratowania twarzy” i ukrycia nie przynoszących chwały detali. Rosjanie zachęcali Arabów do ryzykownych kroków, obiecali im pomoc i wysłali marynarke wojenną na Morze Śródziemne dla konfrontacji z amerykańską Szóstą Flotą, i tym skrępowali Naserowi ręce i nogi.

Po co to zrobili? W miarę tego, jak rosło napięcie, „gorąca linia” między Kremlem a Białym Domem zaczęła działać. Dwa supermocarstwa umówiły się unikać bezpośredniego angażowania się i powstrzymywać strony przed konfliktem. Jeśli Amerykanie robili wszystko, co możliwe dla powstrzymania Izraelczyków, to zapewne robili to na tyle formalistycznie i powolnie, że Izrael w rzeczywistości odczuwał to jako poparcie. W każdym razie nikt nie słyszał o tym, żeby amerykański ambasador budził izraelskiego premiera, aby przestrzec Izraelczyków przed otwieraniem ognia. Kontrola ZSRR nad Naserem była surowa, brutalna i efektywna. Nawet jednak w takich okolicznościach rezygnacja Nasera z elementarnych wojskowych przygotowań pozostaje zagadką. Czy radziecki ambasador podczas swej nocnej rozmowy z Naserem powiedział, że Moskwa jest pewna, że Izraelczycy nie uderzą pierwsi? Czy Waszyngton dał Moskwie taką gwarancję? I czy Moskwa była aż tak łatwowierna, by traktować takie zapewnienie dosłownie i działać w oparciu o nie? Wydaje się to prawie niewiarygodne, lecz tylko taka wersja wydarzeń mogła tłumaczyć beczynność Nasera i skrajne

zdziwienie Moskwy po rozpoczęciu się działań wojennych.

Z całej tej gmatwaniny wyłania się główna sprzeczność radzieckiej polityki. Z jednej strony, radzieccy przywódcy widzieli w ochronie międzynarodowego status quo główny warunek ich narodowego bezpieczeństwa i sukcesu doktryny „pokoju współistnienia”. Dlatego byli zaniepokojeni utrzymywaniem „bezpiecznego dystansu” od ognisk niebezpiecznych konfliktów klasowych w innych państwach. Z drugiej strony, nie mogli z przyczyn ideologicznych i państwowo-politycznych całkiem dystansować się od podobnych sytuacji. Nie mogli utrzymywać bezpiecznego dystansu, gdy amerykański neokolonializm szedł do natarcia – wprost, bądź okrężnymi drogami – na swoich afro-azjatyckich i latynoamerykańskich wrogów, którzy postrzegali Moskwę jako swego przyjaciela i obrońcę. W czasach spokojnych, kiedy sprzeczność ta była ukryta, Moskwa dążyła do „odprężenia i zbliżenia z USA”, lecz jednocześnie popierała i uzbrajała swoich afro-azjatyckich i kubańskich przyjaciół. Jednak wcześniej czy później dochodzi do kryzysu, dlatego problem ten stanął przed Moskwą. Radziecka polityka była zmuszona do jasnego wyboru między sojusznikami i protegowanymi, co naruszało status quo, i tym, co było dla niej korzystne. Kiedy wybór był nieuchronny, wybierała status quo.

Jest to prawdziwy dylemat, zwłaszcza w czasach broni jądrowej. Jednak dokładnie ten sam dylemat mają USA, jako że USA, tak jak ZSRR, są równie zainteresowane w uniknięciu wojny światowej i konfliktu jądrowego. To bez wątpienia ogranicza ich swobodę działania i polityczno-ideologiczną ofensywę na „trzeci świat”, lecz w znacznie mniejszym stopniu, niż swobodę ZSRR. Waszyngton znacznie mniej obawia się tego, że jakieś działanie ich protegowanych, czy też ich własna interwencja zbrojna może doprowadzić do bezpośredniej konfrontacji supermocarstw. Po kryzysie kubańskim i wojnie w Wietnamie wojna arabsko-izraelska znów wyraźnie ujawniła tę różnicę.

– Oczywiście, problem polega na tym, czy Izraelczycy kiedykolwiek mieli szansę na ułożenie po prostu normalnych

stosunków z Arabami? Czy w ogóle mieli wybór? W jaki stopniu ostatnia wojna jest wynikiem długiego łańcucha nieodwracalnych zdarzeń?

– Tak, do pewnego stopnia obecna sytuacja zdeterminowana jest całym przebiegiem relacji arabsko-izraelskich w czasie II wojny światowej, być może nawet jeszcze z I wojny światowej. Sądzę jednak, że Izraelczycy pewien wybór mieli. Pozwolę sobie zacytować przypowieść, za pomocą której próbowałem kiedyś przedstawić ten problem izraelskiemu audytorium.

Kiedyś pewien człowiek wyskoczył z górnego piętra płonącego domu, w którym już zginęło wielu członków jego rodziny. Zdołał się uratować, jednak lecąc w dół spadł na człowieka, który był na dole, łamiąc mu ręce i nogi. Spadający nie miał wyboru, lecz dla człowieka z połamanymi kończynami to właśnie on był przyczyną jego nieszczęścia. Gdyby obaj zachowywali się bardziej racjonalnie, nie stali by się dla siebie wrogami. Gdybyż tylko człowiek, który ratował się z płonącego domu, po wyzdrowieniu spróbował pomóc i pocieszyć drugą ofiarę, a ta mogła zrozumieć, że jest ofiarą zbiegu okoliczności, nad którymi nikt z nich nie miał kontroli.

Cóż się jednak dzieje, jeśli ludzie ci zachowują się nieracjonalnie? Jeden okaleczony obwinia drugiego o swoje nieszczęście i przysięga, że mu za to odpłaci. Drugi, obawiając się zemsty kaleki, obraża go i bije za każdym razem, kiedy się spotykają. Pobity kaleka znów przysięga, że się zemści i znów jest bity i karany. Nienawistnik, początkowo obrażony i nieszczęśliwy, stopniowo hartuje się swą nienawiścią, co kładzie się cieniem na ich współistnieniu i zatruwa ich umysły. Jestem pewien, że rozpoznajecie siebie – powiedziałem do mojego izraelskiego audytorium.

– Europejski Żyd w Izraelu – to człowiek, który skakał z płonącego domu. Druga osoba – to uosobienie palestyńskich Arabów, z których ponad milion utraciło swoje ziemie i domy. Są wzburzeni, spoglądają przez granice na swe rodzime miejsca,

które już do nich nie należą, napadają ukradkiem i przysięgają zemstę. Bijecie ich bez litości. Ale jaki to ma sens? I jaką mamy wszyscy perspektywę?

– Odpowiedzialność za tragedię europejskich Żydów – Auschwitz, Majdanek i krwawe getto – leży całkowicie po stronie zachodniej burżuazyjnej „cywilizacji”, której prawowitym dziedzicem, chociaż odrażającym, jest nazizm. Jednakże za zbrodnie Zachodu dokonane na Żydach zapłacili Arabowie. Nadal jeszcze zmusza się ich do płacenia, jako że „nieczyste sumienie” Zachodu, rzecz jasna, zmusza wielkie mocarstwa do zajmowania proizraelskiego i antyarabskiego stanowiska. I jakże łatwo Izrael pozwolił przekupić się i ogłupić fałszywym „zadośćuczynieniem”.

Racjonalne stosunki między Izraelczykami i Arabami będą możliwe, jeśli Izrael przynajmniej spróbuje je ustanowić, jeśli człowiek, który wyskoczył z płonącego domu, spróbuje zaprzyjaźnić się z niewinną ofiarą jego upadku i zadośćuczynić mu za poniesione szkody. Tak się nie dzieje. Izrael nigdy nie przyznawał się do wyrządzenia krzywdy Arabom. Od samego początku syjonizm pracował nad utworzeniem czysto europejskiego państwa i pragnął pozbyć się z kraju Arabów. Władze izraelskie nigdy poważnie nie rozważały możliwości zadośćuczynienia krzywdom czy złagodzenia krzywd poczynionych Arabom. Odmawiały nawet pochylenia się nad losami ogromnej masy uchodźców, dokąd kraje arabskie nie uznały Izraela, póki Arabowie nie poddali się politycznie. Możliwe, że można to tłumaczyć taktyką negocjacyjną. Katastrofalne pogorszenie arabsko-izraelskich stosunków nastąpiło po wojnie sueskiej, kiedy Izrael bezwstydnie występował jako awangarda zbankrutowanego europejskiego imperializmu w jego ostatnim wypadzie przeciwko antykolonializmowi na Bliskim Wschodzie. Izraelczycy nie musieli przyłączać się do „kampanii sueskiej”. Wszystkie „za” i „przeciw” były oczywiste i nie było tu mowy o przemieszaniu tego, co sprawiedliwe z niesprawiedliwym w stanowisku każdej ze stron. Izraelczycy nie mieli absolutnie

racji, ani moralnie, ani fizycznie. Na pierwszy rzut oka konflikt arabsko-izraelski to tylko starcie dwóch rywalizujących „nacionalizmów”, z których każdy pozostaje w kręgu samozadowolenia i pyszałkowatych ambicji. Z punktu widzenia abstrakcyjnego internacjonalizmu nie ma nic prostszego, niż uwolnienie się od obu, jako jednakowo reakcyjnych i bezużytecznych. Taki pogląd byłby jednak ignorowaniem społecznych i politycznych realiów powstałej sytuacji. Nacjonalizmu narodów w krajach półkolonialnych czy kolonialnych, walczących o swą niepodległość, nie powinno się stawiać na tej samej moralno-politycznej płaszczyźnie z nacjonalizmem najeźdźców i ciemężycieli. Pierwszy ma swoje historyczne usprawiedliwienie i aspekt postępowy. Jasne jest, że nacjonalizm arabski, w odróżnieniu od izraelskiego, należy jeszcze do pierwszej kategorii.

Jednak nawet nacjonalizmu uciskanych nie powinno się uznawać bez konstruktywnej krytyki, jako że w jego rozwoju są różne fazy. W pierwszej fazie przeważają dążenia postępowe; w drugiej – na powierzchni pojawiają się tendencje reakcyjne. Z chwilą kiedy niepodległość jest już wywalczona czy prawie wywalczona, nacjonalizm zwykle odrzuca rewolucyjny komponent i przyjmuje wsteczną ideologię. Widzieliśmy, jak się to stało w Indii, Indonezji, Izraelu i do pewnego stopnia nawet w Chinach. Nawet w fazie rewolucyjnej każdy nacjonalizm ma cechy irracjonalne, skłonność do elitaryzmu, narodowego egoizmu i rasizmu. Nacjonalizm arabski, pomimo wszystkich jego historycznych zasług i postępowych funkcji, także nie jest pozbawiony tego komponentu.

Czerwcowy kryzys ujawnił niektóre podstawowe słabości arabskiej myśli politycznej: braki w politycznej strategii, skłonność do nadmiernej emocjonalności i przesadne posiłkowanie się nacjonalistyczną demagogią. Słabości te stały się przyczyną arabskiej klęski. Znajdując zadowolenie w groźbach „starcia Izraela z powierzchnią ziemi” – a jak puste to były pogroźki wynika z całkowitego militarnego

nieprzygotowania Arabów – niektórzy propagandziści Egiptu i Jordanii przysporzyli wielkich zysków izraelskiemu szowinizmowi, co pozwoliło izraelskiemu rządowi doprowadzić naród do paroksyzmu strachu i wściekłości, który runął potem na głowy Arabów.

Powszechnie wiadomo, że wojna jest kontynuacją polityki. Wojna sześciodniowa ujawniła względną niedojrzałość współczesnych arabskich reżimów. Izraelczycy zawdzięczają swój triumf nie tylko uprzedzającemu uderzeniu, lecz także bardziej nowoczesnej gospodarczej, politycznej i wojskowej organizacji. Do pewnego stopnia wojna ta ujawniła rozwojową specyfikę krajów arabskich po wojnie sueskiej i bardzo poważne w niej braki. Modernizacja społeczno-gospodarczych struktur Egiptu i innych krajów arabskich, a także arabskiego myślenia politycznego dokonywały się znacznie wolniej, niż sądził naród, skłonny do idealizacji reżimów sprawujących władzę w krajach arabskich.

Zachowane zacofanie, oczywiście, miało korzenie w społeczno-gospodarczych uwarunkowaniach. Jednak ideologia i metody organizacji już same z siebie były czynnikami osłabiającymi: system jednopartyjny, kult Nasera i brak wolności słowa. Wszystko to poważnie utrudniało polityczne nauczanie i socjalistyczną oświatę mas ludowych. Negatywne wyniki stały się odczuwalne na kilku płaszczyznach. Tam, gdzie najważniejsze decyzje polityczne zależą od mniej lub bardziej autokratycznego przywódcy, w czasie pokoju nie ma ani rzeczywistego udziału ludu w procesie politycznym, ani nadzoru, ani aktywnej świadomości, ani oddolnej inicjatywy. Miało to liczne konsekwencje, w tym także wojenne. Uprzedzające izraelskie uderzenie, dokonane za pomocą standardowego uzbrojenia, nie przyniosłoby takiego pustoszącego oddziaływania, gdyby siły zbrojne Egiptu były nawykłe do polegania na oddolnej inicjatywie poszczególnych żołnierzy i oficerów. Lokalni dowódcy podjęliby wówczas elementarne obronne środki ostrożności, nie czekając na

rozkazy z góry. Wojskowa niekompetencja była wyrazem społeczno-politycznej słabości. Wojskowo-biurokratyczne metody „naseryzmu” stały na przeszkodzie także i politycznej integracji arabskiego ruchu wyzwolenczego. Nacjonalistyczna demagogia rozkwita nadzwyczaj łatwo; nie jest jednak ekwiwalentem prawdziwego impulsu do narodowej jedności i rzeczywistej mobilizacji sił ludowych przeciwko siejącym niezgodę elementom reakcyjnym. Zobaczyliśmy, jak w sytuacji krytycznej nadzwyczajne zaufanie do jedyne go przywódcy uzależniło los państw arabskich od wielkomocarstwowej interwencji i przypadkowości dyplomatycznego manewru.

**– Wróćmy do Izraela – jak on wykorzystał możliwe zwycięstwo?
Jak Izraelczycy widzą swą przyszłą rolę w tej części świata?**

– Paradoksalne i groteskowe jest to, że Izraelczycy występują teraz na Bliskim Wschodzie w roli Prus. Obecnie mają za sobą trzy wygrane wojny ze swymi arabskimi sąsiadami. Dokładnie tak samo postąpili żołnierze pruscy sto lat temu, w ciągu kilku lat pokonując wszystkich swoich sąsiadów – Duńczyków, Austriaków i Francuzów. Nieustanne zwycięstwa zrodziły w nich absolutną pewność co do efektywności swojej armii, ślepe zaufanie do siły swej broni, szowinistyczną wyniosłość i pogardę do innych narodów. Obawiam się, że podobna degeneracja (a co do tego, że jest to degeneracja – nie ma wątpliwości!) może zachodzić w Izraelu. Lecz w charakterze „bliskowschodnich Prus” Izrael może być tylko słabą parodią oryginału. Prusy mogły przynajmniej wykorzystać swoje zwycięstwa do zjednoczenia w ramach Reichu wszystkich niemieckojęzycznych narodów, pozostających poza Austro-Węgrami. Sąsiadów Niemiec dzieliły własne interesy, historia, religia i język. Bismarck, Wilhelm II i Hitler umiejętnie podjudzali ich przeciwko sobie. Izraelczycy okrażeni są wyłącznie przez Arabów. Próby szczucia jednych państw arabskich na inne skazane są w ostatecznym rachunku na niepowodzenie. Arabowie byli skłóceni w 1948 roku, kiedy Izrael rozpętał pierwszą wojnę; byli znacznie mniej poróżnieni w 1956 roku, podczas drugiej wojny Izraela; i w

1967 roku utworzyli jednolity front. Arabowie mogą okazać się znacznie bardziej zwarcii w przyszłym konflikcie z Izraelem.

Niemcy podsumowali swe doświadczenie w gorzkim stwierdzeniu – „Możecie zwycięsko polec!”. Do tego właśnie dążą Izraelczycy. Odgryźli kawałek znacznie większy, niż są w stanie połknąć: na terytoriach okupowanych i w Izraelu żyje około 1 500 000 Arabów, ponad 40% ludności. Czy Izraelczycy przegonią tę masę Arabów, aby „bezpiecznie” władać zajętymi ziemiami? Powstałby nowy problem uchodźców, bardziej niebezpieczny i w większej skali, niż przedtem. Czy zwrócą zagarnięte tereny? Nie – twierdzi większość ich przywódców. Ben Gurion, zły duch izraelskiego szowinizmu, przekonuje do utworzenia na brzegu Jordanu „państwa arabsko-palestyńskiego”, które stanie się izraelskim protektoratem. Czy Izrael może oczekiwać, że Arabowie zgodzą się na taki protektorat? Że nie będą walczyć „zębami i pazurami”? Żadna z izraelskich partii nie jest przygotowana nawet do rozważenia możliwości utworzenia państwa arabsko-izraelskiego. Tymczasem wielu Arabów „skłoniono” do porzucenia swych domów nad Jordanem, a sytuacja tych, którzy pozostali, była znacznie gorsza, niż arabskiej mniejszości w Izraelu, żyjącej tam na prawach stanu wojennego przez 19 lat. Tak, takie zwycięstwo jest dla Izraela rzeczą gorszą, niż klęska. Nie może ono zapewnić Izraelowi większego bezpieczeństwa, wręcz przeciwnie. Jeśli zemsta Arabów jest tym, czego się Izraelczycy obawiali, to zachowują się tak, jakby kwiecista retoryka zamieniła się w prawdziwe zagrożenie.

– Czy zwycięstwo Izraela przyniosło jakąś realną korzyść Stanom Zjednoczonym? Czy przedłużyło to amerykańską ofensywę ideologiczną w Afryce i w Azji?

– Był taki moment podczas zawieszenia broni, kiedy wydawało się, że klęska Egiptu doprowadziła do upadku Nasera i rezygnacji z kojarzonej z jego nazwiskiem polityki.

Gdyby tak się stało, Bliski Wschód wróciłby oczywiście do strefy wpływów Zachodu. Egipt stałby się jeszcze jedną Ghaną

czy Indonezją. Tak się jednak nie stało. Tłumy Arabów, które wyszły na ulice i place Kairu, Damaszku i Bejrutu, żądały żeby Naser pozostał u władzy, i w ten sposób przeszkodziły temu. Był to jeden z rzadkich historycznie ważnych ludowych odruchów, które momentalnie przywracają lub naruszają polityczną równowagę. Tym razem w chwili klęski inicjatywa oddolna pojawiła się natychmiast. Mało jest takich zdarzeń w historii, kiedy lud powstawał w ten sposób do obrony swego pokonanego przywódcy. Sytuacja, oczywiście, wciąż jeszcze nie jest stabilna. Reakcyjne siły Zachodu będą kontynuowały działania wśród Arabów i dążyły do czegoś na podobieństwo przewrotu w Ghanie lub Indonezji.

– Wpływy i prestiż Moskwy w wyniku tych wydarzeń uległy poważnym zmianom. Przejściowo czy na zawsze? I czy miało to wpływ na polityczny układ sił w Moskwie?

– „Rosjanie nas zawiedli!” – taki gorzki zarzut stawiano Moskwie na Cyprze, w Damaszku i Bejrucie w czerwcu. Kiedy Arabowie zobaczyli radzieckiego delegata głosującego w ONZ w unisonie z Amerykanami za zaprzestaniem działań zbrojnych bez jakiegokolwiek uzależnienia tego od wycofania wojsk izraelskich, poczuli się zdradzeni. „Związek Radziecki spadł teraz do pozycji drugiego lub czwartego mocarstwa w świecie” – powiedział Naser radzieckiemu ambasadorowi. Wydawało się, że wydarzenia potwierdzały podejrzenia Chin o zмовie ZSRR i USA. Sytuacja ta wywołała alarm również w Europie Wschodniej. „Jeśli Związek Radziecki mógł zdradzić Egipt, być może zdradzi i nas, kiedy zderzymy się z nową agresją niemiecką?” – zastanawiali się Polacy i Czesi. Jugosłowianie również byli wzburzeni. Tito, Gomułka i inni wschodnioeuropejscy przywódcy udali się do Moskwy domagać się wyjaśnienia i zorganizowania operacji ratunkowej dla Arabów. Zwracało to uwagę tym bardziej, że żądanie to wychodziło od „umiarkowanych i rewizjonistów”, zwykle opowiadających się „pokoju współistnieniem” i zbliżeniem z USA. Właśnie oni mówili teraz o radzieckiej „zмовie z amerykańskim imperializmem”.

Radzieccy przywódcy musieli coś zrobić. Interwencja arabskiego narodu, która uratowała reżim Namera, nieoczekiwanie dała Moskwie wolną przestrzeń dla manewru. Po zdradzeniu swoich arabskich sojuszników, radzieccy przywódcy znów wyszli na pierwszy plan jako przyjaciele i obrońcy państw arabskich. Kilka teatralnych gestów – zerwanie stosunków dyplomatycznych z Izraelem i przemówienia w ONZ – nic ich nie kosztowały. Nawet Biały Dom dał wyraz „zrozumienia dla ich problemów” i „taktycznej konieczności”, która zmusiła Kossygina do wystąpienia podczas Zgromadzenia Ogólnego ONZ.

Jednak dla odbudowania radzieckiej pozycji na Bliskim Wschodzie trzeba było czegoś ważniejszego, niż zwykłe działanie. Arabowie domagali się, aby Związek Radziecki pomógł im w odbudowie militarnej potęgi, jaką utracili, posłuchawszy jego rad. Prosił o nowe samoloty, nowe czołgi, nową broń, nowe zapasy amunicji. Jednakże, pomijając już cenę tego wszystkiego – a wartość wojskowego wyposażenia utraconego tylko przez Egipt sięgała miliarda funtów – odbudowa arabskich sił zbrojnych pociągała za sobą z punktu widzenia Moskwy duże ryzyko polityczne. Arabowie odmawiali prowadzenia rozmów z Izraelem, teraz chcieli, żeby Izrael udławił się swoim zwycięstwem. Priorytetem Kairu było przebrojenie armii. Izrael dał Egipcjanom lekcję: następnym razem egipskie lotnictwo musi jako pierwsze dokonać uprzedzającego uderzenia. Moskwa miała zdecydować, czy dostarczy do tego broń.

Moskwa nie mogła poprzeć idei arabskiej zemsty, nie mogła jednak również odmówić przebrojenia Egiptu. Ale przebrojenie krajów arabskich prawie na pewno wywoła w Izraelu pragnienie przerwania tego procesu i zadania jeszcze jednego uprzedzającego ciosu, a w takim wypadku Związek Radziecki znów będzie miał ten sam dylemat, co w maju i czerwcu. Jeśli Egipt będzie zmuszony uderzyć jako pierwszy, prawie na pewno wtrąca się USA. Ich Szósta Flota na Morzu Śródziemnym nie pozostanie bezczynna, jeśli izraelskie siły powietrzne zostaną zaatakowane i Arabowie będą gotowi do marszu na Jerozolimę czy

Tel Awiw. Jeśli ZSRR znów nie zechce uczestniczyć w konflikcie, znów nieodwracalnie podważy swój międzynarodowy prestiż i utraci swe pozycje. Po tygodniu od zaprzestania działań zbrojnych radzieccy doradcy i eksperci znów byli w Kairze i zapełniali miejscowe hotele, podejmując pracę nad odtworzeniem sił zbrojnych Egiptu. Ale Moskwa nie mogła spokojnie przyjąć perspektywy arabsko-izraelskiego współzawodnictwa i jego dalszych następstw. Zapewne radzieccy eksperci w Kairze specjalnie się nie spieszyli, dokąd radziecka dyplomacja próbowała „uratować pokój” dla Arabów. Ale nawet najsprytniejsze granie na zwłokę nie mogło rozwiązać zasadniczego problemu radzieckiej polityki międzynarodowej. Jak długo Związek Radziecki mógł znosić amerykańską presję? Jak długo mógł ustępować w obliczu zbrojnej, gospodarczej i politycznej ekspansji USA w strefie afro-azjatyckiej? Nie przypadkiem „Krasnaja Zwiezda” już w czerwcu założyła, że aktualna radziecka koncepcja „pokoju współistnienia” wymaga pewnego przeglądu. Wojskowi, i nie tylko oni, obawiali się, że radzieckie ustępstwa zwiększą dynamikę amerykańskich postępów i jeśli tak będzie nadal, bezpośrednie radziecko-amerykańskie starcie jest nieuniknione. Jeśli Breżniew i Kosygin nie poradzą sobie z tym problemem, całkiem możliwa będzie zmiana przywództwa. Kryzysy kubański i wietnamski doprowadziły do upadku Chruszczowa. Wszystkie następstwa kryzysu bliskowschodniego nie są jeszcze jasne.

– Jakie rozwiązanie widzi pan w tej sytuacji? Czy konflikt arabsko-izraelski może być rozwiązany w sposób racjonalny?

– Nie wierzę w możliwość rozwiązania siłowego. Oczywiście, nikt nie może pozbawiać państw arabskich prawa do odtworzenia do pewnego stopnia ich sił zbrojnych. Znacznie bardziej jest im jednak potrzebna społeczna i polityczna strategia i nowe metody walki o wyzwolenie. Nie może to być strategia wyłącznie negatywna, powodowana nienawiścią do Izraela. Mogą odmówić prowadzenia rozmów z Izraelem, dokąd nie zaprzestanie on swoich podbojów. Oczywiście, mogą też stawiać opór okupacji na

zachodnim brzegu Jordanu i w strefie Gazy. Nie będzie to jednak oznaczało wznowienia wojny.

Strategia, która mogłaby dać Arabom znacznie więcej, niż każda „święta wojna”, czy zadawanie uprzedzających ciosów, a więc prawdziwie „cywilizowane” zwycięstwo, powinna opierać się na niezwłocznie koniecznej intensywnej modernizacji struktury arabskiej gospodarki i polityki, i na konieczności prawdziwej integracji Arabów na płaszczyźnie narodowej. Cele te mogą być osiągnięte tylko w tym wypadku, jeśli rewolucyjne i socjalistyczne tendencje w polityce arabskiej będą się umacniać i rozwijać. Koniec końców, arabski nacjonalizm będzie bez porównania bardziej efektywny jako siła wyzwolenicza, jeśli będzie on zdyscyplinowany i zracjonalizowany przez internacjonalizm, który pozwoli Arabom podejść do problemu izraelskiego bardziej realistycznie, niż dotychczas. Nie mogą oni w dalszym ciągu negować prawa Izraela do istnienia i cieszyć się krwiożerczym oratorstwem. Wzrost ekonomiczny, uprzemysłowienie, oświata, bardziej efektywna organizacja państwa i bardziej trzeźwa polityka powinny dać Arabom to, czego nie może dać nienawiść do Izraela, to znaczy realnej przewagi, która prawie automatycznie sprawi, że rola Izraela na Bliskim Wschodzie stanie się znacznie skromniejsza.

To oczywiście nie jest program krótkoterminowy. Ale jego realizacja nie zajmie aż tak dużo czasu, a krótszej drogi do wyzwolenia nie ma. Oszczędzanie czasu na drodze demagogii, zemsty i działań zbrojnych okazało się katastrofalne. Tymczasem arabska polityka powinna opierać się na bezpośrednim zwracaniu się do narodu izraelskiego ponad głowami izraelskiego rządu, na wezwaniach do ludzi pracy w kibucach. Tych ostatnich należy uwolnić od ich lęków poprzez jasne gwarancje i poręczenia Arabów, że prawomocne interesy Izraela będą uszanowane i będzie powitany jako pełnoprawny członek przyszłej Federacji Bliskowschodniej. To zmusi do przygaśnięcia pożogę izraelskiego szowinizmu i będzie stymulowało opozycję względem zaborczej polityki Eszkola i

Dajana. Nie należy nie doceniać zdolności izraelskich robotników do odpowiedzi na takie wezwanie. Niezbędne jest także uwolnienie się od gier wielkich mocarstw, deformujących społeczno-polityczny rozwój Bliskiego Wschodu. Wskazywałem na mocno zauważalny amerykański wpływ na dzisiejszą politykę Izraela z jej odpychającym i reakcyjnym charakterem, ale wpływ radziecki również wynaturzał umysły Arabów, wychowując ich na pozbawionych treści hasłach i demagogii, gdy jednocześnie egoizm i oportunizm Moskwy zrodził w świecie arabskim rozczarowanie i cynizm. Jeśli polityka bliskowschodnia pozostanie jedynie zabawką wielkich mocarstw, perspektywa rzeczywiście jest ponura. Ani Żydzi, ani Arabowie nie zdołają wyrwać się z tego zaklętego kręgu. Właśnie to – my, lewica – powinniśmy mówić i Arabom i Żydom możliwie najjaśniej i otwarcie.

Kryzys w sposób oczywisty zaskoczył lewicę i tu, we Francji, i jak się zdaje, nawet w USA. W Stanach wyrażano obawę, że różnica zdań w sprawie Izraela może nawet doprowadzić do rozłamu w ruchu przeciwko wojnie w Wietnamie.

Tak, bez wątpienia zamieszanie było wszędzie. Nie będę tu mówił o takich „przyjaciołach Izraela”, jak monsieur Mollet i jego kompanioni, którzy, tak jak lord Avon i Selwyn Lloyd, widzieli w tej wojnie kontynuację „kampanii sueskiej” i własną zemstę za rozczarowanie 1956 roku. Lecz nawet „skrajna lewica” w tej partii, jak Sidney Silverman, zachowywała się tak, jak ilustracja do powiedzenia: „Poskrob Żyda-socjaldemokratę, a ujrzysz syjonistę”. Ale zamieszanie w obozie lewicy trwa nadal, wciągając nawet ludzi z nieskazitelną przeszłością – bojowników z imperializmem. Francuski pisarz, znany z nieustraszonej walki przeciwko wojnie w Algierii i w Wietnamie, tym razem wzywał do solidarności z Izraelem, oświadczając, że jeśli przetrwanie Izraela będzie wymagało interwencji amerykańskiej, udzieli mu poparcia i będzie nawet krzyczał: „Niech żyje prezydent Johnson!”. I nie wydawało mu się absurdem krzyczeć „Precz z Johnsonem!” w Wietnamie i

„Niech żyje prezydent Johnson!” w Izraelu? Jean-Paul Sartre również wzywał do solidarności z Izraelem, potem jednak otwarcie przyznał się do błędu. Podczas II wojny światowej, jako członek ruchu oporu, nauczył się patrzeć na Żyda jak na brata, którego należy bronić w każdych okolicznościach. Podczas wojny w Algierii jego braćmi byli Arabowie, i bronił ich. Dlatego konflikt arabsko-izraelski postrzegał jako wojnę bratobójczą, o której nie mógł mówić spokojnie i przepełniały go sprzeczne emocje.

Tym niemniej, powinniśmy mieć trzeźwy osąd i nie pozwalać na szantaż poprzez odwołanie się do tragedii Auschwitz. Mówię to jako marksista żydowskiego pochodzenia, którego bliski krewny zginął w Auschwitz i którego krewni żyją w Izraelu. Usprawiedliwianie, bądź godzenie się z wojnami Izraela przeciwko Arabom oznaczałoby robienie Izraelowi bardzo złej przysługi i przynoszenie szkody jego interesom w dłuższej perspektywie. Pozwolę sobie przypomnieć, że bezpieczeństwo Izraela nie było wynikiem wojen 1956 i 1967 roku, lecz przeciwnie – zostało przez nie podważone i skompromitowane. „Przyjaciele Izraela” w rzeczywistości zachęcali go do kroczenia drogą samozniszczenia.

Oni też, chcąc – nie chcąc, sprzyjali reakcyjnym nastrojom, które opanowały Izrael w czasie kryzysu. Czuję wyłącznie odrazę, gdy oglądam audycje telewizyjne z tamtych lat: demonstrację dumy i okrucieństwa zdobywców, wybuchy szowinizmu i szaleńcze świętowanie wątpliwego triumfu, ostro kontrastujące z obrazami cierpień i beznadziei Arabów, furgonami jordańskich uchodźców i ciałami egipskich żołnierzy, zmarłych z pragnienia na pustyni. Patrzyłem na średniowieczne postacie rabinów i chasydów, skaczących z radości przed Ścianą Płaczu i czułem, jak w kraju gęstniała atmosfera reakcji. Potem pokazywano mnóstwo wywiadów z generałem Dajaniem, bohaterem i zbawcą z politycznym myśleniem pułkowego sierżanta, perorującego o aneksji i ochrypłym głosem dzielącym się grubiańskimi uwagami człowieka bez serca na temat losu

Arabów na zajętych ziemiach: „Co mnie oni obchodzą? Jak dla mnie, to mogą zostać, albo odejść”. Już owiany fałszywą wojenną legendą – w rzeczywistości Dajan ani nie planował, ani nie kierował słynną sześciodniową kampanią – prezentował się najprędzej jako złowieszcza postać przewidywanego kandydata na stanowisko wojskowego dyktatora. Chodziły słuchy, że jeśli partie lewicowe potraktują Arabów „zbyt łagodnie”, ten nowy De Gaulle da im nauczkę, weźmie władzę w swoje ręce i podniesie prestiż Izraela jeszcze wyżej. A za Dajanem stał Begin, minister i przywódca skrajnie prawicowych syjonistów, który długo twierdził, że nawet Transjordania jest częścią „historycznego Izraela”.

Reakcyjna wojna nieuchronnie rodzi bohaterów, nastroje i owoce, w których jej charakter i cele w pełni wynaturzają się na rzecz agresorów. W głębszym sensie historycznym żydowska tragedia znajduje w Izraelu złowieszczą kontynuację. Przywódcy Izraela wykorzystują i nadużywają Auschwitz i Majdanek; lecz ich działania dewaluuja prawdziwe znaczenie żydowskiej tragedii. Europejscy Żydzi zapłacili przerażającą cenę za rolę przedstawicieli gospodarki rynkowej pośród narodów, żyjących w naturalnej, bezpiętniej gospodarce agrarnej, rolę tę przyszło im odgrywać w przeszłości nie z własnej woli. Byli wiodącą siłą wczesnego kapitalizmu, kupcami i lichwiarzami w przedkapitalistycznym społeczeństwie. Wraz z rozwojem współczesnego kapitalizmu, ich rola stopniowo była niwelowana. W Europie Wschodniej podstawowa masa Żydów składała się ze zubożałych rzemieślników, drobnych kupców, proletariuszy, półproletariuszy i skrajnej biedoty. Lecz obraz bogatego Żyda – kupca i lichwiarza w nieżydowskim folklorze – pozostał w ludowej pamięci, budząc nieufność i strach. Naziści wzięli ten obraz, powiększyli go do kolosalnych rozmiarów i stale trzymali przed oczami narodu. August Bebel kiedyś powiedział, że antysemityzm, to „socjalizm głupców”. Takiego „socjalizmu” było aż nadto w epoce wielkiego kryzysu gospodarczego, masowego bezrobocia i masowej rozpacz lat 30. Europejska klasa robotnicza nie była zdolna do zrzucenia ucisku

burżuazji, lecz nienawiść do kapitalizmu była na tyle silna, że dla rozładowania emocji potrzebny był „kozioł ofiarny”. Z drobnej burżuazji i lumpenproletariatu wyrósł rozczarowany antykapitalizm, cierpiący na strach przed komunizmem i neurotyczną ksenofobię. Oddziaływanie nazizmu było tak silne po części dlatego, że obraz Żyda jako obcoplemiennego elementu, „przeklętego krwio pijcy” był dla nazbyt wielu narodów wciąż jeszcze aktualny. To również tłumaczy względną obojętność i bierność, z jaką tak liczni nie-Niemcy patrzyli na pogromy Żydów. „Socjalizm głupców” z radością obserwował, jak prowadzono Żydów do komór gazowych. Izrael obiecał tym Żydom z Europy, którzy przeżyli, nie tylko „narodowy dom”, lecz także uwolnienie ich od poniżającego piętna. To było celem ruchu Histadrut i syjonizmu w całości. Żydzi powinni byli przestać być chciwymi właścicielami sklepów, gospodarczymi i kulturalnymi kontrabandzistami, obcymi – wypchanymi monetami, których tak brakuje innym. Mieli osiedlić się na „własnej ziemi”. Ale teraz na Bliskim Wschodzie znów występują w oburzającej roli agentów już nie tyle własnego, względnie słabego kapitalizmu, lecz interesów potężnego zachodniego kapitalizmu i neokolonializmu. Tak właśnie świat arabski ich postrzega i nie bez przyczyny. Żydzi znów obudzili w swoich sercach gorzkie emocje i nienawiść. To nie do pozazdroszczenia los narodu żydowskiego – występowanie w takiej roli! Jako agenci wczesnego kapitalizmu byli pionierami w społeczeństwie feudalnym; jako agenci późnego imperialistycznego kapitalizmu współczesności, występują w żałosnej roli i znów znajdują się w sytuacji potencjalnych „kozłów ofiarnych”. Czy w ten sposób powinna rozwijać się historia Żydów? Z drugiej strony, Arabowie powinni zachować czujność w obliczu „socjalizmu i antyimperializmu głupców”. Wierzmy, że nie poddadzą się mu i że wyciągną naukę ze swojej klęski, zdołają do siebie dojść i położyć fundament prawdziwie postępowego, socjalistycznego Bliskiego Wschodu.

Tłumaczenie: Tadeusz Walczak

Źródło: Internacionalista.pl

NOTA BIOGRAFICZNA

Izaak Deutscher (1907-1967) – urodzony w rodzinie ortodoksyjnych Żydów w Chrzanowie. Działacz Komunistycznej Partii Polski, wyrzucony z niej za postulat współpracy z socjalistami przeciwko faszyzmowi. Następnie sympatyk trockizmu i krytyk komunizmu sowieckiego z takich pozycji. W 1939 r. wyemigrował do Londynu, gdzie zajmował się dziennikarstwem i publicystyką, specjalizując się w tematyce związanej z ZSRR. Autor biografii Stalina oraz trzytomowej biografii Lwa Trockiego, a także szeregu książek i artykułów poświęconych komunizmowi, historii ZSRR, zimnej wojnie, biurokracji radzieckiej, tematyce żydowskiej itp.